

Sprawa ACTA, czyli trudne słowo „własność”

26 stycznia 2012

Do niedawna pisano o tym, że Donald Tusk do perfekcji opanował metodę wyprowadzania kozy: tworzony przez własną ekipę problem rozwiązywał kreując się na wybawcę. Taktyka ta działała przez pewien czas, ale w końcu można się na niej poważnie przejechać. Wiele wskazuje na to, że początek drugiej kadencji rządu może do takiej sytuacji doprowadzić. Nie wszystko idzie po myśli premiera. Problemy zaczynają narastać ledwie końca dobiegła mało znacząca, ale zaspokajająca mocarstwowe ambicje prezydencja w Radzie UE. Tusk w swoim, drugim expose zapowiadał reformatorskie zacięcie, a tymczasem ciosy spadły na niego znacznie wcześniej niż społecznie zaczęły być odczuwalne skutki jego decyzji, a w dodatku jeszcze wcześniej aniżeli decyzje te w ogóle podjęto.

Najpierw rząd oberwał wskutek afery refundacyjnej, teraz zbiera cięgi za ACTA. Nie zawsze słusznie, kuriozalne są przecież ataki posłów byłego i obecnego PiS, którzy przypadkiem nie mijają się z prawdą głównie wtedy, gdy jest to stanowisko przeciwne względem PO. Byli prospołeczni kiedy Platforma prywatyzowała wodociągi w Warszawie i majstrowała przy szkolnictwie wyższym, ale kiedy ograniczała hegemonię OFE, potulnie wybrali stronę kapitału. Nieco ponad rok temu poparli projekt przeciwko któremu teraz sami protestują. Dawniej ACTA była dla nich symbolem ochrony świętego prawa własności (a przecież tego niby-prosocjalna partia postulująca repywatyzację się domaga), z nagłą stała się totalitaryzmem.

Podobne rozdwojenie jaźni mają również libertarianie, którzy tradycyjnie wpadają w pułapkę sprzeczności własnych przekonań. Protestując przeciw ACTA postulując walkę z komunizmem. UE to przecież projekt głęboko komunistyczny, EBC we Frankfurcie to proste następstwo bolszewizmu, a dyktat wspólnotowej waluty

stanowi naturalną konsekwencję radzieckiej kolektywizacji. W swoim bajkowym świecie opowiadają się za wolnością. Jak jednak wytłumaczą fakt, że domagają jej się teraz, kiedy w innym momencie ponad wszystko stawiali dyktat świętej własności prywatnej?

Zagadki tego gdzie ich zdaniem własność zaczyna zabezpieczać, a gdzie krępować, z pewnością nie pomogą nam rozwiązać na skutek słabych zdolności analitycznych. Nawet drugi w historii pełen huku upadek rynkowego fetyszyzmu nie zmodyfikował ich przekonań, a raczej pogłężył w wyznawanych do tej pory abstrakcjach w jeszcze głębszym stopniu. W ten sposób winą za upadek wolnego rynku można obarczyć regulacje, których było za dużo, twierdząc, że system był niedoskonały, ponieważ jeszcze coś małego blokowało jego rozwój. Tymczasem wszystko wskazuje na to, że gdyby tych maleńkości w ogóle zabrakło, tąpnięcie byłoby o wiele bardziej dramatyczne w skutkach.

To czego libertarianie nie są w stanie pojąć nawet mając podane jak na tacy historyczne doświadczenia, zaobserwował już 68 lat temu Karl Polanyi. Wybitny filozof wskazywał na te same paradoksy, które idealnie oddałyby nastrój współczesnych czasów, chociaż opisywał okres zupełnie innego załamania gospodarczego, którego jednym z następstw była II Wojna Światowa. Problemem było wówczas rzekomo to, że liberalne zasady implikowano zbyt płytko, co umożliwiło „zwolennikom [tej] doktryny twierdzenie, że przyczyną wszelkich przypisywanych jej problemów stało się niepełne zastosowanie jej zasad”[1]. Współcześni mu liberałowie zwracali się niemal na każdym kroku przeciwko regulowaniu rynku, aby w pewnych sytuacjach zgłaszać jednak wyjątkowy sprzeciw wobec leseferystycznej wolności. Jeżeli jednak „potrzeby samoregulującego się rynku okazywały się nie do pogodzenia z żądaniami leseferyzmu, to liberałowie gospodarczy zwracali się przeciwko temu drugiemu i wybierali – zupełnie tak samo, jak by to robił każdy antyliberał – tak zwane kolektywistyczne metody regulacji i restrykcji”[2]. Interwencje to obejmowały

np. regulacje wymierzone w związki zawodowe i inne formy organizacji społeczeństw kontestujących serwowane im rozwiązania. Cóż innego czynią dzisiaj przeciwnicy ACTA, którzy z nagłą zaczęli oprotestowywać naruszanie wolności, chociaż do tej pory gorąco popierali krytykowane przez siebie obecnie metody. Z kolei obrońcy wolności gospodarczej strojąc się w szaty obrońców wolności jako takiej, proponują traktowany przez siebie zazwyczaj z pogardą regulacjonizm. Obejmie on jednak interesy koncernów farmaceutycznych czy wytwórni fonograficznych, w sytuacji gdy nie sposób przepchnąć nawet minimalnych obostrzeń wobec bankierów.

Zupełną niespodzianką okazał się być jednak fakt w jaki sposób zorganizowany został sprzeciw wobec porozumienia, które przepchnąć usiłuje polski rząd. Sprawa nie jest nowa i chociaż ekipa Tuska próbowała ukryć ją w biuletynie o rybołówstwie, wypłynęła na jaw w ostatniej chwili. Efektowna akcja hakerów otworzyła debatę publiczną tak gwałtownie jak rzadko się to zdarza w pasywnym politycznie społeczeństwie polskim. Hakerzy narzucili własny język dyskusji i właściwie każdy chciał stanąć teraz po ich stronie. Poparła ich równo cała opozycja, a nawet politycy koalicji zaczęli mieć problemy z pamięcią, tak jak Michał Boni, usiłujący wmówić, że jeszcze nic nie jest postanowione. Zapomniał chyba o tym, że jego własny rząd ustalił wcześniej, iż kontrowersyjne porozumienie poprze.

Przypadek ten każe zastanowić się nad siłą polityczną ruchu, który powoli rośnie w siłę na Zachodzie: Partii Piratów. Zdobyli oni już pierwsze mandaty w Parlamencie Europejskim, teraz rosną w siłę w niemieckich sondażach, gdzie być może wypchną nawet na margines ogarniętą kryzysem radykalną lewicę z die Linke. Coraz konkretniej rodzi się więc pytanie, czy ruch ten będzie w stanie powtórzyć sukces zielonych. Ich też traktowano niegdyś jako partię protestu bez poważniejszych perspektyw. Nie zdołali wprowadzić rozwinąć się w Europie Wschodniej, jedynie na Łotwie ratując się sojuszem z agrarystami, ale w zachodniej części kontynentu stanowią już

trwała część niemal każdego systemu politycznego, dysponując dużym i stabilnym elektoratem. Działalność zielonych nie traci swojego sensu ponieważ w dalszym ciągu nieograniczona akumulacja prowadzi do degradacji środowiska naturalnego. Rozwój informatyzacji nie doprowadzi wprawdzie do eliminacji ludzi na rzecz maszyn i nie będzie równie destrukcyjny, ale najpewniej coraz głębiej będzie wejdzie w nasze życie. Paradoksalnie stworzona kiedyś na użytek amerykańskiej armii sieć stała się ważną przestrzenią indywidualnej partycypacji milionów twórców stron internetowych i aplikacji. To oni są w stanie wysunąć chwytliwe i głęboko polityczne postulaty porywające tłumy oraz wyrzucić w Polsce większą presję na władzy aniżeli niemrawe (niestety!) związki zawodowe. Być może to właśnie postępująca komputeryzacja stanie się przestrzenią dla dużego ruchu politycznego. To fenomen daleko głębszy i ciekawszy aniżeli sprawa sieci społecznościowych, które zdaniem niedouczonej dziennikarzy odpowiadały za sukcesy arabskich rewolucji ogarniających zazwyczaj ubogie społeczności pozbawione dostępu do internetu.

Nie wiemy jeszcze z całą pewnością w jaki sposób zakończy się sprawa ACTA, chociaż wiele wskazuje na to, że mimo wszystko rząd rozwiąże problem poprzez wypróbowaną już metodę wyprowadzenia kozy. Chce przecież utrzymać swoją popularność, widząc, że to kolejna porażka, chociaż do tej pory ekipa Tuska wierzyła w swoją nieomylność, utwierdzając się w tym przekonaniu po kolejnych wygrywanych wyborach. Sprawa ACTA budzi jednak szeroki opór od lewa do prawa, godząc na pewnej płaszczyźnie nawet wyznawców kapitalizmu z... antykapitalistami, co prawdopodobnie zmusi rząd do ustąpienia. Nie możemy jednak być tego pewni. Władzę sprawują przecież obecnie w znacznej mierze ci sami ludzie, którzy w czasach rządu Jerzego Buzka wytrwale forsowali wszystkie antyspołeczne kontrreformy rujnujące poparcie koalicji AWS-UW, wierząc na wzór peerelowskich aparatczyków, że to tylko „przejściowe trudności”. Można mieć nadzieję, że dla obecnej ekipy sprawa ACTA będzie kolejnym gwoździem do trumny, sęk jednak w tym, że

o wiele groźniejsze od jej upadku mogą się okazać skutki porozumienia, które ów gwóźdź wbija. I nie chodzi bynajmniej tylko o ściąganie muzyki czy filmów, ale dostęp do leków i wolność słowa, a więc demokrację jako taką.

Autor: Łukasz Drozda

Źródło: [Lewica](#)

PRZYPISY

[1] K. Polanyi, Wielka transformacja. Polityczne i ekonomiczne źródła naszych czasów, przeł. M. Zawadzka, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2010, s. 170.

[2] Tamże, s. 177.